

Roman Dmowski

Relacja z posiedzenia konferencji pokojowej w Wersalu*

Wreszcie wezwano delegację niemiecką, ażeby jej wręczyć w Wersalu projekt traktatu, który szybko, do ostatniego dnia wykańczano.

Trzeba stwierdzić, że ta chwila podania Niemcom warunków pokoju była w ciągu całej Konferencji jedyną, w której znalazł odbicie rozgrywający się w naszym pokoleniu dramat dziejowy.

Do sali, w której cały skład Konferencji zasiadł za stołem, wprowadzono delegację niemiecką. Na czele jej stał Brockdorf Rantzau, przedstawiciel nie tych żywiołów, które wyniosła na czoło rewolucja, ale Niemiec cesarskich, tych, które prowadziły wojnę. Widać było, jak wiele go kosztuje ta rola zwyciężonego. Wyglądał na człowieka, który wstał z łóżka po ciężkiej chorobie, ręce mu się trzęsły, na nogach ledwie się trzymał. Wprowadzono ich, jak podsądnych przed trybunał, zajęli swoje miejsca w milczeniu.

Clemenceau powstał i, zwracając się do Niemców, zaczął swoje przemówienie:

– Panowie, jest to drugi pokój zrobiony w Wersalu...

W tych słowach naród francuski wymierzał sobie satysfakcję za upokorzenie r. 1871, przez usta człowieka, który w młodych latach był świadkiem i uczestnikiem walki z najeźdźcą. Przemówienie było aktem oskarżenia przeciw Niemcom, którzy wojnę wywołali i prowadzili ją w bezwzględny, okrutny sposób.

Nastąpiła odpowiedź Rantzaua. Mówił siedząc, bo ustać na nogach nie mógł. Mówił po niemiecku, biorąc sobie dla języka niemieckiego to samo prawo, które miał francuski i angielski na konferencji. Po każdym zdaniu przerywał, dając głos tłumaczowi, którego delegacja miała z sobą. Trzymał się z godnością, dumnie. Na wszystkie oskarżenia Niemców, odpowiadał analogicznymi oskarżeniami sprzymierzonych... Występował, jako zwyciężony wróg, który nakazuje szacunek dla siebie. Muszę przyznać, że w tej roli budził we mnie osobistą sympatię.

Nigdy, jak w owej sali, nie odczuwało się historycznej powagi chwili, dla nas, Polaków, poważniejszej, niż dla kogokolwiek. Na stole leżał tekst traktatu, który Niemcy mają podpisać, traktatu, który uznaje niepodległe państwo polskie, mocą którego Niemcy zwracają Polsce nie wszystko wprawdzie, co jej zagarnęli w przeszłości, ale prawie wszystko to, czego nie zdołali zniemczyć. Po długim okresie niewoli, w którym ziemia z roku na rok z pod nóg nam się usuwała, w którym przebiegły i uparty wróg wynajdywał coraz nowe sposoby podważania naszego bytu, karta dziejów się odwraca: odbieramy główną część tego, co nam Prusy wydarły w rozbiorach, odzyskujemy

* Fragment cyt. za: R. Dmowski, *Pisma*, t. VI: *Polityka polska i odbudowanie państwa. Druga połowa. Wojna od r. 1917. Pokój*, Antoni Gmachowski i S-ka, Częstochowa 1937, s. 172–176.

kolebkę Polski, Poznań, przez Pomorze wracamy do Bałtyku, łączy się wreszcie znów z Polską ziemia śląska, którą utraciliśmy przed pół tysiącem lat z górą, a która polską pozostała... W ciągu swego wiekowego zmagania się z zachodnim sąsiadem nie miała Polska takiej chwili od Kazimierza Jagiellończyka, od drugiego Pokoju Toruńskiego.

Zapomniałem wówczas o rzeczach i ludziach małych, o sporach i utarczkach codziennych, o marnych ambicjach i marnych intrygach, które stawały na drodze w dążeniu do wielkiego celu – myśl biegła po wielkich szlakach dziejowych, sięgała w odległą przeszłość, szukała odpowiedzi na zagadnienia przyszłego bytu państwa i narodu.

A jednak nie można było zamykać oczu na fakt, żeśmy osiągnęli tylko połowiczne rozstrzygnięcie kwestji naszego rozgraniczenia z Niemcami. Ten projekt traktatu, oddający nam całą prawie część Śląska, której mieliśmy cel i prawo żądać, niewielkie względnie wyłomy robiący w należytym nam zachodniej granicy Poznańskiego i Pomorza – przez ustanowienie wolnego miasta Gdańska i z góry skazanych w danych warunkach na przegraną plebiscytów w Kwidzynie i na Mazurach, przez pozostawienie tym sposobem w rękach Niemiec okrojonych nieco przy ujściu Niemna, a powiększonych na zachodzie Prus Wschodnich, wytwarzał dla naszego państwa położenie bardzo trudne. Nie osiągnęliśmy tego, do czegośmy dążyli, cośmy uważali za konieczne dla bezpieczeństwa Polski, dla jej pomyślnego rozwoju, dla utrwalenia jej niezawisłego bytu – i do czego mieliśmy prawo. To prawo przyznaćby nam musiał każdy bezstronny, głębiej patrzący mąż stanu – zaprzeczyła go nam polityka, przeciw nam, a na korzyść Niemiec świadomie pracująca, posiłkująca się argumentami płytkiego doktrynerstwa.

Tyle w poprzednich częściach tej pracy mówiłem o sprawie naszych granic zachodnich, o znaczeniu dla Polski ziem przez nią objętych, że tu nie mam potrzeby nic dodawać dla unaocznienia wartości tego, cośmy w tym traktacie zdobywali i cośmy tracili. Czy można było w istniejących warunkach osiągnąć więcej? Jeżeli mowa o walce na samej konferencji, w warunkach, w których się ona odbywała, to może się mylę, ale sądzę, że nie. Natomiast jestem przekonany, że gdybyśmy byli inaczej przygotowani się przed wojną, lepiej, z większym wysiłkiem, z większą jednością wysiłku poprowadzili naszą sprawę podczas wojny, wynik byłby bezporównania większy.

Do tego momentu biorę całkowitą odpowiedzialność za politykę polską. Jeżeli niedość pomyślnie rozwiązanie tej wielkiej dla naszego bytu państwowego kwestji ziem zachodnich pochodzi w tej czy innej mierze z naszej nieumiejętności, czy zaniedbania – ja przede wszystkim jestem za to odpowiedzialny. Czy jako kierownik tej polityki przed wojną i w pierwszym okresie wojny, czy później, jako przewodniczący Komitetu Narodowego w Paryżu, czy wreszcie, jako pierwszy, a przez dłuższy czas jedyny delegat polski na Konferencji Pokojowej – przez cały czas odpowiedzialność na siebie brałem i powiększałem ją przez to, iż starałem się nie dopuścić, ażeby cokolwiek z naszej strony było robione wbrew mojej woli, wbrew temu, co uważałem za dobre.

Całe życie byłem przeciwnikiem odpowiedzialności zbiorowej, działania w ten sposób, że nigdy dobrze niewiadomo, kto jest winien złemu. Uważałem, że za każdą

pracę jej kierownik musi odpowiadać i że do władzy kierowniczej ma prawo tylko ten, kto gotów jest ponieść odpowiedzialność za wszystkie następstwa. Wódz, który zwycięstwa przypisuje sobie, a na innych zwała klęski, jest człowiekiem moralnie niedojrzałym, i jako taki na swoim odpowiedzialnym stanowisku nieuczciwym.

W momencie wszakże, o którym mowa, kończy się moja rola, jako pierwszego delegata polskiego na Konferencji Pokojowej. Przechodzi ona do rąk głowy rządu polskiego, prezesa rady ministrów, Paderewskiego, który zjechał do Paryża i z tytułu swego stanowiska zajął moje miejsce jako pierwszy delegat.